

Mój kontakt z akcją "N" nastąpił niepostrzeżenie, bez specjalnych informacji i wprowadzenia: po prostu dostarczono mi paczkę ze słowami w kopertach gazetkami i polecono rozesłać je z możliwie wieloróżnych miejscowości położonych na terenie III Rzeszy / pod nazwą Reichu rozumieliśmy tereny zamieszkałe przez ludność niemiecką lub objęte granicami z przed drugiej wojny światowej/. Zadanie to nie było trudne. Poruszałam się wtedy po obszarze Warthegau pociągami czasem rowerem, przechodziłam na teren Śląska i jeździłam, chociaż jeszcze nie tak często do Reichu, gdyż w owym czasie wymagane były na granicy specjalne przepustki kontrolowane jak paszporty. Był to bowiem rok 1941, jesień.

Październikowe popołudnie w Kaliszu kiedy to po raz ostatni spotkałam się z moim bezpośrednim dowódcą "Jackiem I". Był nim 26-letni absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim Wacław Kałużniak - dowódca Oddziału II rejonu kaliskiego. Wtedy oczywiście wiedziałam, że posiada on dowód na nazwisko Andreas Luksha opiewający, że jest on obywatelem pochodzenia białoruskiego. W dowód ten ~~który~~ młodego podporucznika rezerwy zaopatrzone, gdy zgłosił się zaraz po wkroczeniu okupantów do pierwszej polskiej organizacji niepodległościowej ZWZ. Dobra znajomość języka niemieckiego zdecydowała o przydziale do rodzaju pracy konspiracyjnej. Jacek przychodził zazwyczaj do mnie, dzwonił do drzwi w umówiony sposób, najczęściej w godzinach południowych, gdy nie było nikogo w domu, gdyż moja gospożka przebywała do godziny 17-ej w pracy. W połowie każdego miesiąca przynosił materiały do przepisywania na maszynie. Raporty składało się w Łodzi 19-go każdego miesiąca. Ustalaliśmy pracę i zadania na następny tydzień. Dzieliliśmy się spostrzeżeniami i uzyskanymi informacjami. Dużo było wyjazdów w teren.

Owego listopadowego popołudnia szybko zapadał zmrok. Spotkałam się w okolicach Krehholmu i oddzieliśmy wśród potłuczonych i przegna

nych na bruk kamiennych nagrobków. Pamiętam ciszę owego dnia, ciepły powiew wiatru przynoszącego zapach pól i poczucie wolności istot żyjących wśród przyrody. Gdy jednak potykaliśmy się o kamienie zwalone na owym cmentarzystku kirchof'u nie sposób było oderwać się od strasznej okupacyjnej rzeczywistości. Naogół nie rozmawialiśmy o sprawach osobistych, ^{i mieszale} nie wiedzieliśmy o sobie ^{u siebie} rzadko w rozmowach wspominał ktoś o przyszłości. Żyliśmy dniami dzisiejszym, gotowi w każdej chwili iść tam dokąd rozkaz naszych dowódców nas przeniesie lub potrzeba sytuacji zmusi. Wokół ginęli ludzie, których przewiny wobec okupanta były wobec naszej "roboty" niewielkie, a ^{nie} nawet żadne. Nie ma w tym cienia przesady, gdy powiem, że nastawialiśmy się psychicznie na to, aby być przygotowanym w każdej chwili na rewizję, zasadzkę, aresztowanie, więź i śmierć. Nie wolno było na tym terenie nosić broni, dopiero później zaopatrzone nas w broń psychologiczną - ampulki z płynem, który miał zawierać cyjanek potasu. Podejmując nowe zadania chcieliśmy je wykonać jak najlepiej, aby zwiększyć przeświadczenie, że drogo sprzedajemy nasze życie.

Wtedy jednak cisza i ciepłe poduchy wiatru wywoływały jakikieś tęsknoty w duszy i "Jacek" jedyny raz zwierzył się, że myślał przez chwilę o tym, iż doczekawszy wyzwolenia chciałby zamieszkać w małym cichym domku, gdzieś jak tutaj zdaleka od miasta. Nie wiedział ani on, ani ja nie przypuszczałam, że był to jego ostatni dzień, w którym dany mu było zachłysnąć się swobodnym powiewem wiatru i chłonąć ciszę przyrody. Nazajutrz droga jego wiodła przez Niency na zachód i północ pod Hamburg i Bremę, gdzie w kilka dni później został aresztowany. Złapali go z aparatem fotograficznym i z obciążającymi go materiałami. Bity, sponiewierany, był przetrzucany po różnych więzieniach aż do egzekucji. Gdy nie miałam żadnej wiadomości o jego losie i zbliżał się termin raportu dotarłam do dowódcy Oddziału II naszego Okręgu Łódzkiego kpt. dypl. Zygmunta Janka ^{nik}

noszącego pseudonim "Gertruda" / późniejszy d-ca Okręgu Śląskiego AK płk.dypl.Zygmunt Walter-Janke /. Wiele zatarło się w pamięci z obrazów zmieniających się jak w kalejdoskopie, tanych dni, jednak pamiętam i "widzę" tamten grudniowy poranek, gdy idąc ulicą 11. listopada / / w Łodzi rozdeptując śnieg i błoto weszła po raz pierwszy do bramy domu nr , gdzie na I piętrze czwoniło się do drzwi zaopatrzonych w dużą tablicę z napisem "Uhrmacher Edmund Wasilewski" ..

Zygmunt "Gertruda" polecił w pierwszym rzędzie zabezpieczyć lokal "Jacka" w Kaliszu i nawiązać kontakty z naszymi punktami w Sieradzu, Zduńskiej Woli i Wieluniu. Niełatwe to było zadanie. Zabezpieczenie lokalu w Kaliszu wymagało "rozpracowania" właściciela domu na przedmieściu Kalisza, w którym "Jacek" odnajmował pokój. Udając osobę przyjeżdżną, krewną Jacka przekonałam gospodarza który był starym zdziwaczalym człowiekiem, i którego reakcji nie można było przewidzieć, że jego nieobecny od kilku tygodni lokator zachorował poważnie i wymaga dłuższej opieki. Zapewniałam jednak, że powróci do Kalisza i prosił mnie o zapłacenie komornego naprzód i pozyskawszy aprobatę gospodarza, pod pretekstem zabrania ciepłej bielizny spenetrowałam pokój wkładając do walizki wszystko, cokolwiek mogłoby, jak mi się wydawało, stanowić jakikolwiek materiał dowodowy obciążający por.Kałużniaka.

"Jacek" zachował wieność przysięcze, jaką składał ^{w organizacji} wobec Złapany z dowodami swej ^{rad}wiadajkowej pracy / aparat ze zdjęciami obiektów w p.n. Niemczech, / fałszowany ^{ne}dokumenty / nie przyznał się do ~~wny~~ swej przynależności do organizacji, ani nie podał swe nazwiska, *nikogo nie wydał.*

Od tej pory jazdy moje stały się częstsze. Odwiedzałam niektóre nasze punkty w rejonie kaliskim, w Zduńskiej Woli, Sieradzu i Wieluniu / te dwa niestety nie utrzymały łączności/. Wędrowałam na dalsze szlaki: Wrocław - Wiedeń - Wrocław - Lipsk - Wolfen Kr. Bitterfeld - Monachium - Norymberga - Frankfurt n. Menem - Kolonia - Hannover - Mahburg - Rostock - Greifswald - Szczecin - Poznań - Łódź. Od 1942r zamiast "Jacka" jeździłam do Łodzi z raportami. Dowódca naszego II Oddziału Okręgu Łódzkiego /kpt Zygmunt Janke - "Gertruda" / nadał mi też pseudonim "Jacek II" - poprzednio używałam pseudonimu "Ryszard" /.

18. 24
Raporty pisało się według określonego schematu: na pierwszym miejscu były sprawy wojskowe, jak rodzaj jednostek spacjonujących, liczby i stopnie oficerów, numery poczty polowej, wyposażenie, nastroj wśród żołnierzy, transporty wojskowe itp. Na drugim miejscu były sprawy związane z przemysłem - zbrojeniowym i ogólnym. Dalszym punktem była sytuacja ludności polskiej: zarządzenia okupanta, represje, aresztowania, wysiedlenia ludności, wywóz na przymusowe roboty i t.p. I wreszcie na ostatnim miejscu podawaliśmy wydarzenia i nastroje wśród ludność i niemieckiej.

Przyznam się, że do tego ostatniego punktu nie przywiązywałam nigdy większego znaczenia. Znałam ludność niemiecką bardzo dobrze, zaczynając od Volksdeutschów, po przez repatriantów ze wschodu: Wolyńców, Rumunów i Bessarabian, elitę repatriacyjną, za którą uważano Baltendeutschów i wreszcie Reichsdeutsche, znałam nauczycieli i młodzież, duchownych i sędziów, kupców i właścicieli posiadłości ziemskich. Byłam zdania, że bez względu na ich stosunek do partii hitlerowskiej i wojny podporządkują się wszelkimi rozkazom Hitlera i organom władzy, uczynią wszystko czego od nich zażąda Führer i narodoosocjalistyczna gęczyzna. Myślałam wtedy, że tylko klęska militarna może mieć jakiegokolwiek znaczenie i zaważyć na życiu i czynach tych ludzi.

Ale był to rok 1941 i nic nie wskazywało na zapowiedź owej klęski.

Wojna ze Związkiem Radzieckim dopiero zaczęła się i Niemcy byli upojeni zwycięstwami i nawet aniej ideologicznie wychowani uwierzyli w swe nowe posłannictwo w Europie.

W tym to okresie zaczęłam otrzymywać pierwsze większe partie prasy "N"-owej. Były to gazetki formatu nieco węższe niż pół strony maszynopisu, drukowane starannie, na pięknym papierze, pisane dosko-
nałym językiem, treść ich była umiarkowana, rzeczowa. Artykuły zdumiewały mnie znajomością psychiki odbiorcy, dla którego były przeznaczone. Dalej zawierały wiadomości z frontów, trochę wiadomości "zakulisowych" utrzymanych w tonie powściągliwie szyderszym. Odbiorcy tych gazetek nie mogli mieć wątpliwości, że teksty redagowali rodowici Niemcy.

Ktoś mi powiedział, że prasa ta przychodzi do nas z Warszawy. Nie chciało się wprost wierzyć, że mamy w stolicy ludzi, którzy tak bezbłędnie potrafią wczuć się w psychikę Niemców z okresu II wojny światowej.^x

Wróćmy jednak do okresu 1942 roku. Pierwsze numery gazetek wpiłam w okolice Kalisza i rozsyłałam często do adresatów już wypisanych na kopertach, a częściowo adresatów wyszukiwałam sama. Upamiętnił mi się wyjazd do Ostrowa Wkp, może właśnie dlatego, że drogą przejeżdżał znajomy Niemiec - Obersturmbahnführer Vigro, który wzięły mnie w krzyżowy o ien pytań /spotkania poprzedniego dnia oświadczyłam, że jadę rowerem do Łodzi /, dyby nie to że zatrzymałam się na chwilę w prz. drożnym rowie, gdy on przejeżdżał /szosą do Ostrowa.^{to}
x
29.
W 1967r zaproszono mnie na zebranie do ZBoWiDu, gdzie znalazło się grono osób, które brały udział w akcji "N" na terenie t.zw. Generalnej Guberni i Śląska. Dowiedziałam się także dopiero wtedy, że autorem tych doskonałych tekstów był m.in. prof. dr Kazimierz Kuna-
niecki, obecny na tym spotkaniu. Nie zdziwiło mnie to: znalazłam odpowiedź na zadane sobie przed laty pytanie, kto tak świetnie i z takim znuwstwem układał teksty y przeznaczone dla Niemców.

23

Zachowało się moje zdjęcie z tamtego okresu. Jestem na nim, jak zresztą w rzeczywistości w wieku 16 - 20 lat / ^{skroścyłam} ~~miałam~~ ^{lat 20} ~~lat 20~~, gdy mnie aresztowało Gestapo w 1944r / .Ciężka mi rola, jaką miałam do pełnienia w czasie okupacji. Trzeba było przecież żyć i obracać się ^{prawi} ~~prawi~~ wyłącznie wśród wrogów. Trzeba było upodabniać się do nich zewnętrznym ubiorem i zachowaniem, trzeba było wczuć się w tę rolę, co było rzeczą wymagającą ciągłej samokontroli. Poza tym nie miałam w tym czasie ^{już} żadnej osoby, której można byłoby "wywnętrzyć się". Bogusia / moja przyjaciółka z przed wojny, pracowniczka naszego Oddziału II w Łodzi, zginęła w Powstaniu Warszawskim / była już wtedy stale w Warszawie, "Jacek" zginął, a moi dowódcy / Zygmunt "Gertruda" i jego adiutant i zastępca "Mikołaj" / byli "daleko i wysoko". Ich rzeczą było wydawanie rozkazów a moją wykonywanie ich i składanie raportów. Wychowałam siebie w takiej wewnętrznej dyscyplinie żołnierskiej, że rozmowy z moimi dowódcami były krótkie i utrzymane w "żołnierskim tonie". Miałam szczęście, że prawie od pierwszej chwili mojej konspiracyjnej działalności miałam zawsze do czynienia z ludźmi o nieposzlakowanych cechach charakteru i niezwyklej wartości. To też spotkania z nimi, owe krótkie rozmowy w czasie składania raportów 1 raz w miesiącu, nie częściej niż 2 razy w miesiącu. Spotkanie te były czymś w rodzaju "ładowania akumulatora", z nich czerpało się siłę i zapał, potrzebne do jak najlepszego wykonania zadań. A praca w wywiadzie podczas wojny na terenach, gdzie działały tylko jednostki, należała do niełatwych. Otrzymywane zadania były często niezbyt dokładnie sprecyzowane, wykonanie ich wymagało od nas często własnej inicjatywy i wielkiego skupienia, zdolności decyzji i potrzeby liczenia tylko na siebie. / ~~fotografia~~

Zadanie, polegające na wożeniu i kolportowaniu prasy "Nowej" było o tyle proste, że była to praca konkretnie określona i można ją było ocenić liczbami rozesłanych gazetek. Odbierałam w Łodzi paczkę gazetek i jechałam z nią do Wiednia, gdzie w XVII Bezirk'u przy Hofstadtgasse 14 u Frau Bauer, 66-letniej wdowy odnajmowałam od jesieni 1942r pokój.

W tym właśnie pokoju, długim prostokątnym pomieszczeniu, którego o-
wychodziły na oszkloną werandę¹, do którego nawet w słoneczny dzień
nie dochodziły promienie jaśniejszego światła zasiadałam do nocnej
pracy, pewna, że nikt mi w niej nie przeszkodzi. W ciągu dwóch,
t trzech kolejnych nocy pilnie adresowałam dziesiątki i setki ko-
pert. Adresatami byli krewni poległych na frontach żołnierzy i ofi-
cerów. W dzienniku "Der Völkische Beobachter" na przykład całe
szpalty były w tym czasie pokryte nekrologami² zawiadomieniami o śmierci najbliż-
szych, których rodzina pozostaje, zgodnie z przyjętą formułą w
dużonej żałobie /in stolzen Trauer/. Był to zwrot najczęściej używany
jak też i to, że życie swe oddali owi polegli "Für Führer, Volk
und Vaterland" / za Führera, naród i ojczyznę/.

~~10~~ Powinno mego sceptycyzmu co do istotnej roli akcji "N" jako
czynnika podkopującego wiarę Niemców w zwycięstwo i ewentualnego
wpływu "ich oszłabionego ducha" na dalsze losy wojny, wierzyłam, że
prasa w jaką zaopatruje taki "dom żałoby" może przejściowo na-
trafić na podatny grunt, szczególnie tam, gdzie już kilku członków
rodziny poległo w cz. się podbojów Europy przez niemiecką Wehrmacht
Po przygotowaniu wysyłki wyruszałam w drogę³ przez południowe
Niemcy, Saksonię, Bawarię do Nadrenii i dalej do miast północnych
nadmorskich oraz do Berlina. Podróże te były męczące i trwały po
dwie lub trzy doby bez wytchnienia. Celem ich było rozwiezienie
prasy z możliwie wielu miejscowości. Nie mogłam zatrzymywać się
w hotelu, aby przespać kilka godzin, gdyż zwracałoby to uwagę a
ponad to w hotelach trzeba było okazywać delegacje z wypisanym
przez odpowiednie władze celem podróży. Stąd konieczność przesia-
dania z pociągu na pociąg i czas trwania podróży wydłużający się
do kilku dni bez przerwy na odpoczynek. Rekordem swoistym była
podróż trwająca 8 dni i 7 nocy spędzonych w zatłoczonych pocią-
gach z krótkimi przerwami, podjętowanymi koniecznością rozesłania
poczty i odczekaniem na dworcu nadejścia następnego pociągu.

Tę właśnie podróż najlepiej pamiętam. A było to tak :
Któregoś razu po złożeniu raportu, który przyjął "Gertruda" i "Mi-
kołaj" powiedziano mi, że otrzymam nową porcję prasy na dworcu.
Za kilka godzin o umówionej porze istotnie na dworcu kolejowym
Łódź Kaliska wręczono mi sporych rozmiarów walizkę. Była ona podnie-
czona i nie posiadała kluczyka, na który możnaby zamknąć zwykły
walizkowy zamczek. W przedziale umieściłam moją walizkę na półce
i, będąc przez chwilę sama, uniosłam pokrywę walizki. Zdziwiłam się
bardzo, gdy ujrzałam setki gazetej niczym nie opakowanych i nie na-
krytych. Spodziewałam się raczej, że cenny materiał znajdzie ukryty
pod podwójnym dnem. Do przedziału zaczęli napływać podróżni i pociąg
wkrótce ruszył. W drodze do Wrocławia dwukrotna kontrola biletów
i dowodów. Jak na filmie "Stawka większa niż życie" obok konduk-
tora sprawdzającego bilety kolejowe pojawiają się dwaj tajniacy
sprawdzający dowody i pytający tu i owdzie o cel podróży. I p.
Szcześliwie dojeżdżam do stacji Breslau Hauptbahnhof. Dworzec Główny
we Wrocławiu wszystkim nam dobrze znany przedstawiał nieco od-
mienny wygląd niż obecnie. Wielką poczekalnię i długą halę, z które-
wiodą przejścia do tunelu i na perony zapełniają ciągle tłumy
wojskowych i mężczyzn różnych formacji. W ich tłumie nikną część
cywilnych podróżnych. Za kilka minut odchodzi mój pociąg do Wied-
nia. Trzymając walizkę z prasą w lewej ręce i torbę podróżną w pra-
wej ręce przesuwam się wraz z tłumem podróżnych w kierunku peronu
drugiego, gdzie z toru trzeciego odchodzi mój pociąg do Wiednia.
Wtem u wejścia na schody wiodące z tunelu na peron chwytają mnie za
lewą rękę tę właśnie, w której trzymam walizkę pełną prasy "N" wy-
soki żandarm z Schutzpolizei. Obok niego stojący drugi policjant
sprawdza zawartość bagażu jakiegoś mężczyzny. Scena ta, jakże czę-
sta w Generalnej Guberni, tu na terenie Rzeszy należy do rzadkości.
To nie, że żandarmi chwytają przygodnych podróżnych w poszukiwaniu

jak mi się zdaje tylko słoniny i zapasów żywności, gdyż wystarczy że otworzą za chwilę pokrywę mojej walizy i grozi mi straszna wpadka. Następuje jedna z tych chwil w naszym życiu, gdy w momencie śmiertelnego zagrożenia zjawia się natychmiastowy refleks i decyzja, a mianowicie udając wielką pewność siebie krzyczę do żandarma: "Warten Sie mal, ich gebe Ihnen meinen Schlüssel. Wo ist er denn?!" - wyrzucam z siebie udając, że poszukuję klucza w kieszeniach mojego kostiumu podróznego. W rzeczywistości, jednak oczekuję momentu, aby wpaść w przesuwaną się tłum ludzi nieustannie podążających na perony. W momencie, w którym mam już wykonać ten desperacki ruch rozlega się w megafonach głos: "Achtung, Achtung, der Zug nach Wien fährt von Bahnsteig ~~70~~ 70. Bitte einsteigen und Tür schließen!". W tej samej chwili wyrzucam moją walizkę z ręki zaskoczonego żandarma i krzyczę z pasją "Lassen Sie doch, mein Zug fährt ab" i rozpychając ludzi wbiegam po kilka stopni na raz po schodach wiodących na peron i wskakuję do ruszającego powoli pociągu.

Do dziś pamiętam żywo uczucie odprężenia z jakim przesuwałam się wzdłuż korytarzy wagonów nabierającego szybkości pociągu, aby przysiąść się do jakiegoś przepełnionego przedziału II klasy. Walizkę na wszelki wypadek wsunęłam głęboko pod ławkę.

We Wiedniu, który był mi po Łodzi i Kaliszu kolejnym niemalże rodzinnym miastem, przez wiele godzin nocnych przesiadywałam nad adresowaniem i zaklejaniem kopert z naszą prasą "N-ową".

Nazajutrz, tym razem starannie maskując cenny bagaż, wyruszyłam w objazd po Rzeszy. Droga wiodła przez południowe Niemcy. Poza Wolfen Kr./Bitterfeld i ^{na północy} Drezno, gdzie mogłam odwiedzić naszych ludzi wywiezionych tam na roboty i pracujących dla nas, nie miałam żadnego celu. W Lipsku moim alibi mogły być odwiedziny profesora wyższej szkoły muzycznej Głównego konserwatorium lipskiego, którego znałam ze słyszenia, do Monachium można było wędrować po

pretekstem zasięgnięcia informacji w sprawie studiów wyższych, w Nadrenii podróż można było odbywać w celach turystycznych. W pociągach jednak nie było widać turystów. Zaczęły się bowiem już nie tylko w zgiebieniu Ruhry bombardowania miast, dworców i linii kolejowych. Pociągi były przepełnione wojskiem, wagony były stare, nieogrzewane, nocą nieoświetlane. Ludzie zmęczeni pracą i wojną, sytuacja wymagała w tym czasie już wielogodzinnej pracy od każdego Niemca, wzrastały ograniczenia i nie nie zapowiadało rychłego końca wojny/ nie byli skłonni do rozmów. Podobnie jak żołnierze - zdyscyplinowani, wychowani na filmach w rodzaju "Achtung, Feind hört mit" nie zwracali się ze swych spraw i obserwacji.

Raz tylko pamiętam, jakby to było wczoraj, spotkałam w przedziale pociągu młodego Niemca, który gadał jak najęty, choć nie zadawano mu pytań ani nie podtrzymywano z nim rozmowy. Również i wtedy ^{26-ym} celem mojej podróży było "rozkolportowanie" prasy "N-owej". Podróż ta była zarazem połączona z największym wysiłkiem wytrzymałościowym, na jaki musiałam zdobyć się w moim życiu - trwała ona bowiem ni mniej ni więcej tylko 7 nocy i 8 dni w pełnym pojeździe, bez rozbierania się i mycia, bez chwili wytchnienia, przebiegła w pozycji stojącej i w przejściach wagonów. Podróż ta była przerywana jedynie w większych miastach Rzeszy dla rozesłania prasy. Rzadko tylko miałam okazję zjeść na jakimś dworcu talerz gorącej zupy, a zapasy chleba skończyły się. To też zakończyłam ją, jak prawdziwy maratończyk - poprostu padając z wyczerpania, u celu wytyczonej sobie trasy. W pociągu, który wiozł mnie do Monachium, na odcinku Regensburg - Freising, jechał w przedziale na kilkudniowy urlop w nagrodę za swą dobrą pracę i wierną postawę w służbie państwa Bawarii, 16-letni członek ochotniczej służby pomocniczej. Był to chłopak budowy korpulentnej, wzrostu średniego, o ciemnych włosach i oczach oraz grubych rysach twarzy, gadatliwy, mówiący gwara bawarską, syn ludu tej ziemi, pochodzący ze wsi gdzieś z okolic miasteczka Freising odległego o około 50 km od stolicy Bawarii i kolebki ruchu

narodowosocjalisty cznego. Pamiętam, że nie zamykały mu się usta. Wcale go to nie zrażało, że nikt spośród dziewięciu zciężnionych i zafrasowanych podróżnych tego przedziału nie podejmował z nim rozmowy. Przy młoczącej aprobacie słuchaczy młody Niemiec snuł swoje opowiadania, zadowolony ze siebie. Zdaje mi się, że widzę go zajądającego w krótkich przerwach długiego monologu boczek z chlebem. Była to długa i bardzo szczegółowa opowieść o tym, jak to on bierze udział w niezmiernie ważnej dla Wielkich Niemiec akcji gazowania ludności żydowskiej i ukraińskiej ^{i polskiej} zgromadzonej w obozach i gettach miasteczek wschodnich gdzieś w okolicach między Równem i Kamieniem Podolskim. Opowiadał ze szczegółami, z pełną satysfakcją i cynizmem o tym, jak zapędza ludzi do samochodów śmierci, jak wyglądają owe ofiary, jak umierają w mękach, zwłaszcza, gdy zmniejszyć im dopływ spalin z gaźnika. Nie potrafię przelać na papier dumy tego zezwierzęczonego wyrostka a zarazem "nadczłowieka" powracającego wciąż do tego tematu, dorzucającego coraz to nowe szczegóły, zadowolonego ze siebie i ze swojego świata, chełpiącego się swym katowskim, usankcjonowanym przez zbrodniarzy hitlerowskich procederem bestalskiego wyniszczania milionów ludzi. Co porobili w tym czasie słuchacze? Nic, po prostu przysłuchiwali się z zainteresowaniem. Spoglądałam na siedzących wraz ze mną w tym przedziale ludzi. Tylko na dwóch twarzach dostrzegłam coś w rodzaju popłochu czy przerażenia, ale i ci podróżni nie odezwali się żadnym słowem ani nie opuścili przedziału... Jakkolwiek dużo w moim życiu słyszałam i oglądałam rzeczy strasznych to jednak ten odcinek podróży pozostanie w mojej pamięci jako jeden z makabrycznych i nic nie zatrze obrazu młodego cynicznego mordercy, ani treści jego żywej bezpośredniej relacji snutej wśród tempej bezdusznej aprobaty zebranych obywateli III Rzeszy.

Takimi były też masy Niemców stanowiące naród zdolny do największych bestalskich mordów, gorszych i groźniejszych niż w najbardziej barbarzyńskich okresach historii ludzkości.

Moja dalsza podróż wiodła przez Monachium, Augsburg, Ulm, Stuttgart, Mainz, Koblenz, KBlu i dalej Düsseldorf, Essen, Osnabrück do Bremy i wielkich portów nad morzem północnym /Bremerhaven, Hamburg/~~XX~~ i dalej do miast leżących nad Bałtykiem: Kilonii, Rostocku i Szczecina. Jak przez mgłę widzę potężny masyw katedry kolonńskiej, tak wielkiej, że spoglądając z okien odjeżdżającego pociągu widział się jej mury prawie z bliska, ale nie można było dostrzec wież spychających się najniżej i spoglądając ku górze. Jak bardzo kontrastowały odcinki trasy kolejowej wiodące tuż nad rzeką Ren z jej wysokim przeciwnym już na francuskiej ziemi znajdującym się brzegiem z gęsto rozsiętymi zankami z krajobrazem północnych Niemiec - ciągnących się równin z szarymi ciemnymi budynkami, zimną, odpychającą architekturą. Od Rostocku droga wydawała mi się niebywale ciężka. Organizm, choć młody i silny, nie wytrzymał trudów tej jazdy. Od Poznania czułam, że mam wysoką gorączkę, zawroty głowy i uczucie totalnego wyczerpania, iż wydawało mi się niemożliwością dojechanie do celu t.j. do Łodzi. Wielki był wysiłek woli, który pozwolił mi dojechać, zdać raport moim dowódcom i dopiero, jak ci biegacze maratońscy zakłamać się dopiero za metą. Po kilkudniowej chorobie /może to były objawy t.zw. przetrenowania po prostu?/ wróciły siły i zaopatrzona w nową porcję prasy wyruszyłam ponownie w drogę.

Tak częste podróże musiały wpaść w oko milczącym panom penetrującym przedziały i sprawdzającym dowody podróży. Na szczęście tego dnia nie byłam obciążona prasą "N-ową", gdy pracownicy tajnej policji wywozili mnie z przedziału, zaprowadzili na przód pociągu do swego służbowego przedziału, zrewidowali teczkę /na szczęście obyło się bez rewizji osobistej/ i posadzili mnie naprzeciw siebie. Ilekroć przejeżdżałam w drodze do naszego Wrocławia na odcinku za Oleśnicą przypominam sobie tę scenę, jak nadając sobie wyraz nieznamionego spokoju spoglądałam obojętnym wzrokiem na piękne lasy, które mijaliśmy, podczas gdy moi "towarzysze" przyglądali mi

30

się bacznie spoglądając z nad albumu przestępców . Gdy mi się "znudziło" o ładnie krajobrazu udałam, że dopiero teraz zwróciłam uwagę na fotografie w owym albumie i musiałam zachowywać się bardzo nieszczęśliwie, gdyż mnie wypuścili we Wrocławiu wolno. Wkrótce zlikwidowałam swój lokal we Wiedniu i od starej, lecz nieco wściebskiej Frau Braun, przeniosłam się do ^{związku starszych} zapleszkarych we własnym drewnianym domu w ^{berlińskiej} dzielnicy Karlshorst. ~~Karlshorst~~. On był emerytowanym stolarzem i liczył lat ponad 80, zaś jego żona miłą wyschniętą kobieciną, zapracowaną i zafasowaną. Oboje byli na moje szczęście nieco przyglusi i mieli przytępiony słuch. Zmienił się też charakter mojej pracy wraz ze zmianami personalnymi. Przyszedł nowy dowódca major Jabłoński, a kpt Janke został dowódcą całego Okręgu Śląskiego AK. Berlin był lepszą "bazą wypadową" na Niemcy północne - główny teren naszego działania w latach 1943 - 1944. W tym czasie przestałam otrzymywać prasę "N".

Wspominałam już, że kolportowanie prasy "N-owej" nie było moim wyłącznym zajęciem na przełomie lat 1941/1942 i 1942/1943. ^{następne} Od wiosny 1943r przyszły działania związane z "akcją Hamburg" i z "akcją Reichsarchiv". Wydawały się one znacznie ważniejsze, spotkały z dużym uznaniem dowództwa, czego wyrazem były przyznane w tym czasie pierwsze odznaczenia bojowe. W porównaniu z tymi sprawami akcja "N" nie wydawała się mi nawet "przyczynkiem" do losów wojny.

Zmieniłam jednak zdanie niebawem, gdy po aresztowaniu mnie przez Gestapo w maju 1944r, w związku ze śledztwem i przebywaniem w celi więziennej a zwłaszcza za w ciemnicy więzienia kobiecego przy ulicy Gdańskiej w Łodzi, miałam możność i smutną konieczność przeżywania raz jeszcze całej mojej konspiracyjnej drogi.

Pamiętam, że było to chyba już w trzy miesiące po aresztowaniu mnie przez Gestapo, gdy gestapowiec "Tam" - ten z Hamburga, który nie mógł mi darować udziału w dziele zniszczenia jego rodzinnego miasta, zaczął przesłuchanie od pytania, co to była "akcja N". Na moje zapewnienia, że nic o tym nie słyszałam, rozkłeszczony "Tam" powiedział wreszcie do mnie, a może doswoich dwóch pomocników obecnych w tamtej chwili w pokoju nr 26 przy ul. Anstadta /siedziba Łódzkiego Gestapo/: "To wy szukaliście przez dwa lata tej organizacji na terenie Niemiec i całe Gestapo w Reichu było postawione na nogi, a to oni - Polacy - robili tę robotę". W zdaniu tym było tyleż oburzenia, co podziwu, jak mi się wydawało.

Nie ma cienia przesady, gdy wyznam, że tego dnia wracając t.zw. "suką" /karetka wożąca więźniów w języku więźniarskim/ z przesłuchania na ul. Anstadta na ul. Gdańską jeszcze dumniej unosiłam głowę. Rozpierało mnie zadowolenie /rzadkie uczucie u więźnia/ i pewność, że warto było uczestniczyć w tej akcji "N", której rozszyfrowanie kosztowało wroga tak wiele trudu, i że wspomnienie o tym w wywoływało jeszcze po dwóch latach wściekłość gestapowca.